

Krzysztof Urban

DOŻYWOTKA



KRZYSZTOF URBAN

DOŻYWOTKA

[Kup książkę](#)

Copyright by Krzysztof Urban & e-bookowo 2009

Projekt okładki: Krzysztof Urban

ISBN 978-83-61184-31-7



kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części
lub całości bez zgody wydawcy zabronione

Wydanie I 2009

www.e-bookowo.pl

[Kup książkę](#)

WPROWADZENIE

Książka rodziła się powoli. Prawa rządzące fikcją literacką nadały jej wprawdzie formę, a przecież nie stała się przez to powieścią – takie odnoszę wrażenie. Zbyt wiele tu faktów. Nie mogłem też jej uznać za reportaż, choć zbudowałem ją na wspomnieniach płynących na żywo, opowiadanych w przyпыwie szczerości przez – nieżyjącego już – szkolnego kolegę, który na początku lat osiemdziesiątych został osadzony w Ośrodku Zewnętrznym Zakładu Karnego, mieszczącym się na obrzeżach jednego z peerelowskich pegeerów. Takich miejsc było wówczas – o czym mało kto wiedział – sporo. Realia związane z życiem i pracą młodocianych przestępców – zimno, brud, brak opieki lekarskiej, a zwłaszcza niewyobrażalny głód – były dla mnie wielkim zaskoczeniem, podobnie jak warunki egzystencji zwierząt, o których przyjaciel opowiadał ze smutkiem (do tej chwili dźwięczy mi w uszach jego łamiący się głos). Pewnego dnia postanowiłem spisać zapamiętane szczegóły ze zwierzeń przyjaciela, by potem systematycznie, po każdej kolejnej rozmowie, zacząć robić notatki. Gdy wreszcie przeczytałem zebrany materiał, odczułem, że nie ma w nim duszy, że brakuje mu czegoś istotnego, co przykuwało moją uwagę w relacjach słuchanych na żywo. Wpadłem na zbawienny pomysł, by skorzystać z magnetofonu. Słuchanie nagrań uświadomiło mi, że równorzędnym bohaterem wspomnień przyjaciela był język, którym opowiadał swą historię – nie język pięknoducha ślizgający się po powierzchni zjawisk, lecz wnikający w esencję język człowieka zmagającego się ze swym losem. Trzeba było więc, słuchając nagrań, nauczyć się oddychać i czuć w tym języku, by odtworzyć czas i miejsce tak odmienne i dalekie, a zarazem tak bliskie.

SANKCJA

Wchodziłem po schodach rozdygotany. Za mną szedł gliniarz. Zastanawiałem się, czy nie dałoby się uciec, ale gdzież tam. Okna zakratowane, wąskie schody z poręczami do sufitu, na dole dyżurka pełna mundurowych. Chęć miałem i pewnie zapisałbym duszę diabłu, żeby tylko nie oglądać tych lastrykowych stopni i ścian pomalowanych olejną farbą, ale widać, los chciał mnie doświadczyć. Szansa była, ale czy warto brać się za coś, co nie wypali w stu procentach? Może coś bym wykombinował, ale ten za plecami? W dodatku głowy i kości nie miałem w najlepszej formie po wczorajszej zabawie. Nie dałbym rady przewrócić nawet dzieciaka, to o czym tu myśleć, kiedy kark grzał mi oddech dobrze zbudowanego osiłka.

Po co pakowałem się w to szambo? Szedłem z kolegą ulicą, zapytaliśmy jakiegoś gościa o godzinę i po chwili wywiązała się bójka. Nawet nie potrafiłem powiedzieć dlaczego. Kto zaczął i po co. Później zacząłem uciekać, nagle przewróciłem się, zrobiło się ciemno i znalazłem się na komisariacie.

Koledzy z osiedla opowiadali mi czasem, że znaleźć się w kryminale, gdzie sypia się na piętrowych łózkach, gdzie do łaźni chodzi się raz w tygodniu, a za potrzebą trzeba stać w kolejce, to nie to samo co wczasy nad morzem. Dla mnie był to świat odległy i nierealny chociaż otarłem się już o niego. Czy los się na mnie wziął i chciał mnie doświadczyć bardziej niż innych?

Chłopaki przestrzegali mnie, że wcześniej czy później wpadnę. Już raz mnie zatrzymywali, tyle że na czterdzieści osiem godzin. Obeszło się bez sankcji, ale wtedy uważali mnie za dzieciaka, bo nie miałem siedemnastu lat. Z poprzedniej wpadki udało mi się wyjść z wyrokiem w zawieszeniu, tym jednak razem nie zanosilo się, że sąd i prokurator potraktują mnie łaskawie. Napad rabunkowy – zbrodnia! Jaka zbrodnia? – pytałem siebie. Przecież nikogo nie stuknąłem. Na początku nie docierało do mnie co mi grozi. Myślałem, że za pobicie dostanę najwyżej kilka miesięcy do odsiedzenia i koniec. Ale rzeczywistość była o wiele gorsza. Facet, którego pytałem o godzinę zeznał, że zginął mu zegarek i że to ja z moim kolegą dokonaliśmy rabunku. Pobić, a pobić i ukraść, to dwie różne sprawy. W pierwszym przypadku można było dostać wyrok w zawieszeniu, a w drugim, kodeks karny przewidywał za ten czyn minimum trzy lata więzienia.

Śledczy straszył, że mniej jak pięć lat mi nie rąbną. Pewnie myślał, że odwieszą mi wyrok sprzed kilku lat, ale ja wiedziałem, że wtedy byłem małym. To co obowiązywało za nieletniego teraz, jako pełnoletni miałem czyste konto. Żaden sąd nie mógł odwiesić wyroku, który nie należał do mnie. Według prawa byłem już kimś innym. Gliniarz straszył. Nie najlepiej się czułem, ale podkreśki, którymi próbował mnie wystraszyć, rozbawiły mnie tak, że roześmiałem mu się w twarz.

– Zaraz inaczej będziesz śpiewał – zaskrzeczał.

– Czy wy zawsze tak samo? – kpiłem z niego.

Byłem zły i nie miałem ochoty bawić się w podchody. Trochę wprawy już miałem w postępowaniu z gliniarzami. Mogłem kręcić, mydlić mu oczy i ciągnąć przesłuchanie jak najdłużej, ale wolałem od razu dostać swoje i wrócić na dołek. Ledwie skończyłem mówić, już leżałem na podłodze. Czułem krew w ustach. Sprawdziłem językiem, czy wszystkie zęby są na miejscu. Rozcierając bolącą szczęką pomyślałem, że dobrze by było odgryźć się jakoś nygusowi. Wstając, wypłułem krew na podłogę i powiedziałem:

– Kolejność jak zwykle ta sama. Pytanie, potem w mordę. Żadnych zmian. Nic się nie rozwijacie.

Myślałem, że zaraz po raz drugi znajdę się na podłodze, ale śledczy zmienił taktykę. Popatrzył na mnie chytrze i zapytał:

– Czy oglądałeś „Korzenie”?

Zdziwiłem się. Po co pytał mnie o jakiś serial? Nie miałem pojęcia, czego ode mnie chce.

– Pomyliłeś się. Wprowadzamy zmiany. Wylądujesz na stole i dostaniesz po gnatach jak Kunta Kinte.

– To są zmiany? – drwiłem

– Ich przedsmak – przerwał mi śledczy – Po stole wskoczysz w tamtą piramidę...

Zerknąłem w kąt pokoju. Zobaczyłem stos zużytych opon. Nie scykorowałem, ale poczułem się nieswój. Sukinsyn planował jakąś sztuczkę. Nie domyślałem się jednak, do czego zmierza. Zaproponował urzędasowskim slangiem, że odstąpi od ukarania, jeśli się przyznam.

– Do czego? Odwal się!

Przeliczyłem się z siłami. Do pokoju przyszło jeszcze dwóch gliniarzy. Stół przetrzymałem znośnie, ale wciśnięty w opony i okładany pałą po piętach, naprawdę inaczej zacząłem śpiewać. Na dołek nie wróciłem o własnych siłach.

Prokuratora zobaczyłem po trzech dniach. Jedną dobę trzymali mnie bezprawnie. Nie miałem wtedy pojęcia, że podejrzanego należy doprowadzić do prokuratury w ciągu czterdziestu ośmiu godzin i przedstawić zarzuty, jeżeli jakieś są. Nic mnie to jednak nie obchodziło. Martwiłem się, z jakiego artykułu będę odpowiadał. Cały czas myślałem, że będzie to zwykłe pobicie, ale szybko się rozczarowałem. Marek, kolega z którym byłem do sprawy, przyznał się na wyrost. Przeczytałem jego akta po zakończeniu śledztwa. Siedziałem w szambie po uszy. Zegarek zginął naprawdę i to Marek go ukradł. Nie było wyjścia. Mogłem mówić, że tylko się szarpałem z facetem, bo wyzywał mnie od skurwysynów za to, że spytałem go o godzinę. A więc zostałem oskarżony o napad rabunkowy. Czyn którego się dopuściłem zagrożony był karą od lat trzech do piętnastu. Przyszłość wyglądała nie najlepiej.

Na początek trzy miesiące sankcji. Prokuratorzy też ludzie. Nie da się tak na łapucu. Trzeba spisać mnóstwo protokołów, spotkać się z podejrzanym, przygotować materiał dowodowy i kto tam wie, co jeszcze. Po co się spieszyć. Koszty sądowe, grzywna: licznik bije na konto przestępcy. A w dodatku musi być moralnie. Rozpatrzyć trzeba starannie, bo przecież chodzi o człowieka, a nie o świnię w rzeźni, której nikt o nic nie pyta, tylko podrzyna jej gardło i po krzyku.

Denerwowało takie nadgorliwe wczuwanie się w potrzeby innych, staranie o wygodę i dobro bliźniego. Po co ta troska, resocjalizacja i podejmowanie decyzji za innych? Każdy chciał być zbawcą świata, ale Chrystusowie nie rodzą się co dzień. Pamiętam pierwszą rozmowę z wychowawcą po przyjeździe na śledczak; tłumaczył mi, jak służba więzienna otacza opieką skazanych, jak wiele wysiłku wkłada, by na nowo przywrócić społeczeństwu obywateli. To samo słyszałem u prokuratora. Kiedy spytałem go, dlaczego jestem oskarżony o napad, powiedział mi, że tak wynika ze wstępnego śledztwa. Pocieszył mnie i zapewnił, że prokuratura zrobi wszystko, by wykluczyć pomyłkę i wyroku niezgodnego z prawem nie będzie, bo prawo jest zawsze po stronie podejrzanego.

Wszystkie te bzdury widniały tylko na papierze. Wystarczyło znaleźć się na dołku sam na sam z profosem, a wszystkimi przepisami świata można było się podetrzeć. Człowiek

dostawał w mordę i nie miał nic do gadania, nawet gdyby w sejmie uchwalili sto ustaw o ochronie praw człowieka. Po co robić taką szopkę? Bandzior był bandziorem i jakieś krzyki broniące go, gdy był okładany, wołanie o humanitaryzm, zarzucanie niemoralności były zbędne. Sąd, prokuratura, przestępcy, to taki sam biznes jak wszystko inne na świecie: taniec wokół pieniądza. Z jednej strony ustawy bronią godności bandyty, z drugiej – olewanie tych praw i samowola. Z roku na rok jednak przestępcom żyło się w więzieniach lepiej, bo przecież kryminalista to nie samo zło... Prokurator i sędzia mają pracę, komornik ściąga forszę, murarz buduje kryminały, klawisze pilnują, a poszkodowany wysiła mózgownicę, by odbić stracone. Złodziej nie odkłada na książeczkę, przepuszcza szybko forszę na balety. Pieniądz jest w ruchu i świat się kręci.

Uzasadnienie mojego zatrzymania było proste: trzymać z dala od porządných ludzi, ponieważ czyn, którego się dopuścił jest wysoce szkodliwy społecznie. A co było nieszkodliwe społecznie? Ci w ministerstwach też szkodzili ludziom, a nikt nie wsadzał ich do puszki. Wręcz odwrotnie. Przypinali im medale. Co znaczyły moje narzekania? Tyle mojego, co sobie pogadałem. Wiedziałem, że należy prowadzić swoją politykę i nie oglądać się na innych.

Na dołku siedziałem tydzień. Śmierdziałem jak stary cap. Bez papierosów, mydła, wody i grzebienia. Wyglądałem jak strach na wróble. Gdy wychodziłem spod celi, żeby zabrać chleb ze smalcem, pytałem wciąż profosów, kiedy wywiozą mnie na śledczak. Powtarzali, że nie ma transportu. Nie ma – trudno, ale dlaczego przez tyle dni miałem leżeć na dechach? Jak chciałem zapalić, musiałem pukać w drzwi i prosić, by profos zechciał podać mi papierosa z depozytu. Chciał to dać, a jak któryś z zatrzymanych natarczywiej się domagał, wywlekał go na korytarz i raz dwa uciszał. Niektórzy robili sobie zabawę, gdy na dołku znalazł się ktoś zastraszone. Kiedy Wydra miał dyżur – łysiejący profos o mocno zarysowanej dolnej szczęce – ci cwańsi i szukający rozrywek kosztem innych namawiali nowicjusza, by domagał się swojego.

– Co będziesz chujowi przepuszczał. Twoje szlugi, to ci się należą.

– To czemu sam nie wołasz? – wątpił któryś czasem.

– Przecież nikt o nie swoje nie będzie wołał.

Najczęściej taki bajer uspokajał nowego, a ten, nie mając pojęcia o niczym, pukał nieśmiało w drzwi i wołał:

– Panie strażniku, poproszę papierosa!

Delikatnego pukania i wołania profos w swoim kantorku nie słyszał. Trzeba było uderzyć parę razy glanem, aż echo niosło po korytarzu, dopiero była reakcja. Kiedy zjawiał się Wydra, zaczynało się przedstawienie. Skluczał głośno zamek, stawał z szeroko rozstawionymi nogami w drzwiach i trzymając się pod boki, mówił:

– Czego, kurwa? Srać się któremu zachciało? A może papierosa? Hę?

To „chę” kończyło wstęp. Zaczynała się druga runda. Amator fajek nieśmiało występował do przodu i strachliwie przebąkiwał:

– Ja, to znaczy... Przepraszam. Tak, ja chciałem. Czy ja mogę prosić, żeby pan mógł podać mi papierosa?

Wydra promieniał. Twarz cieszyła mu się od ucha do ucha, lecz po chwili cała radość w nim gasła. Dolna szczeka zaczynała mu pracować, chwycił gościa za kłapy i wywlekał na korytarz. Potem rozlegały się jęki, odgłos kopania i nie mijała minuta, a Wydra stał na powrót w drzwiach i wpychał faceta do celi.

Wreszcie nadszedł dzień transportu do więzienia śledczego. Najpierw odebrałem z depozytu sznurowadła, pasek, zegarek i klucze od domu. Forsy w kopercie nie było. Może nie miałem jak mnie przywozili? Byłem na dobrej bani kiedy zgarniali mnie z ulicy.

Wieźli mnie nyską z gwałcicielem. Nie odzywałem się. Od samego początku nie podobał mi się ten gość. Kiedy wrzucili go pod celę, był po niezłej wódce. Nie przeszkadzało mi to wcale, ale jak zaczął przymierzać się do szczania, jakby nie wiedział gdzie jest, poczułem, że go nie lubię. Krzyknąłem na niego. Ocknął się. Schował fiuta. Ale za chwilę znów to samo. Dyżur miał akurat Wydra. Przyszedł, gdy kilka razy kopnąłem w drzwi. Zabrał go, a kiedy wrócił i rzucił pół przytomnego na podłogę, nie było już kłopotów. Rano gwałciciel nic nie pamiętał. Zaczął opowiadać, że pił z jakąś babką, a potem chciał ją posunąć. Narobiła wrzasku, no i wylądował na dołku. Zapewniał, że jest niewinny, ale sankcję wiozł ze sobą, tak jak ja.

Wreszcie dotarliśmy na Łęki. Zaprowadzili nas do pokoju, który wyglądał jak poczekalnia w przychodni. Za zakratowanym okienkiem siedział porucznik w granatowym mundurze. Kiedy wyczytał moje nazwisko, podszedłem i zacząłem podawać mu dane. Nazwisko, imię, datę urodzenia, gdzie pracuję, co potrafię, czy mam może wartościowe

przedmioty typu zegarek, obrączka. Zeszło chyba z pół godziny. Później przyszedł młody plutonowy ze służby więziennej i zaprowadził nas do magazynu.

Na dołku, w świetle mdłej żarówki nie najlepiej widziałem, jak wyglądają moje łachy. Kiedy się rozbierałem, dreszcz mi poszedł po plecach. Koszula czarna, rozdarta przy kołnierzyku, lepiła się od brudu. Marynarka poplamiona krwią, kurtka wyszargana błotem, a slipy szybko zwinąłem w kłębek i wyrzuciłem do kosza. Wstyd było oddać takie zafajdane gacie chłopakowi przyjmującemu depozyt. Mogłem zostać w swoich ciuchach jako śledczak. Ale jak tu chodzić w czymś takim. Wskoczyłem w państwowe szmaty. Zakładając więzienne kalesony, czyściutką koszulę, może nie najlepszego fasonu, ale pachnącą szarym mydłem, zeżliłem się na te brudne szmaciska i niewiele myśląc wszystko wyrzuciłem do kosza.

– Można było oddać do pralni – odezwał się złodziej przyjmujący depozyt.

Machnąłem ręką i ubrałem się do końca.

Oprócz ubrania dostałem kubek, miskę, talerz, łyżkę, dwa koce, prześcieradło i dwie ściěrki.

Strażnicy więzienni prezentowali się o wiele lepiej niż gliniarze. Klawisz, który prowadził mnie podziemnym korytarzem, miał na sobie granatowy mundur, ciemnoniebieską koszulę, czarny krawat – słowem wysoki połysk. Szedłem przed nim, kierując się jego wskazówkami. Sam pewnie bym zbłądził. Kiedy wydostaliśmy się z podziemnego korytarza, zaczęliśmy kluczyć schodami i korytarzami zabezpieczonymi mnóstwem krat. Czułem się jak w labiryncie. Wszędzie czysto i cicho. Oprócz klawiszy nikogo nie widziałem. Zatrzymaliśmy się na czwartym piętrze. Po raz kolejny musiałem się rozebrać. Na każdym kroku zrzucałem łachy: zmiana celi, złe spojrzenie, każdy powód był dobry do kipiszu. Klawisze węszyli jak psy, a gdy znaleźli coś trefnego, cieszyli się jak dzieci.

Nikt nie pamięta, jak to jest przy narodzinach – człowiek pojawia się na świecie i nie wie, co dalej. Wchodząc pod celę, właśnie tak się czułem. Nie miałem pojęcia, co jest za drzwiami z wizjerem. Bałem się. Odwrotu jednak nie było.

W celi czysto jak w pudełeczku. Wyobrażałem sobie, że zaraz obskoczą mnie podejrzane typki, będą czegoś żądać, dopytywać się, a tutaj spokój. Czułem ich badawczy wzrok na sobie. By nie wydać się natrętem, przejechałem oczami dyskretnie. Żadnej zakazanej gęby, jak to czasem oglądałem na filmach. Na jednym zatrzymałem się dłużej. Uśmiechnąłem się od ucha do ucha. Przy oknie stał Kogut, znajomek z podstawówki.

Spis treści

Wprowadzenie	4
SANKCJA.....	5
POWITANIE	21
PRZYDZIAŁ.....	28
GRYPSOWANIE.....	44
SMOLARZ.....	58
SIANO	65
JESIEŃ	76
OBORY	87
KONIE.....	102
JABŁKOWIN	116
DO DOMU.....	136